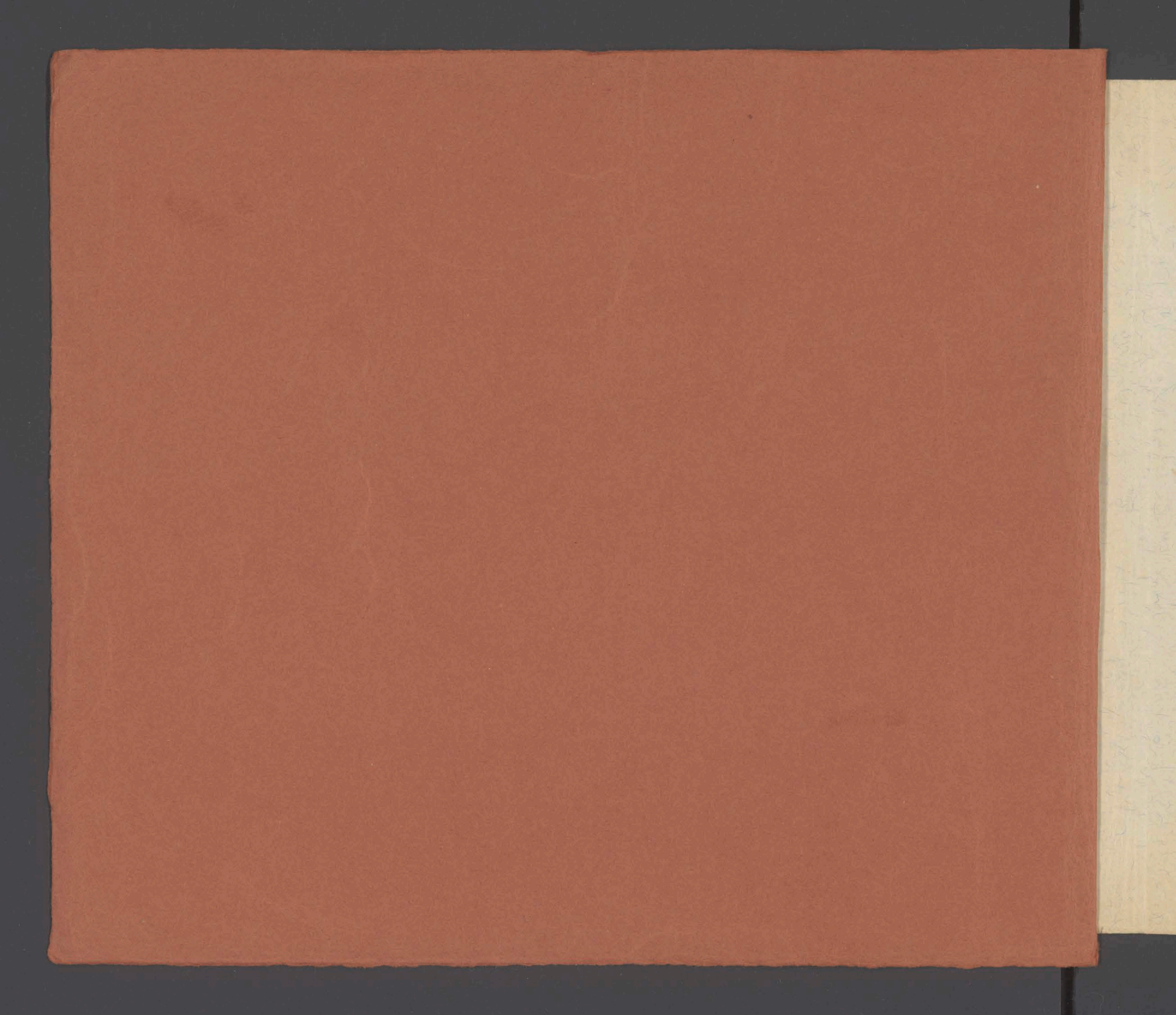
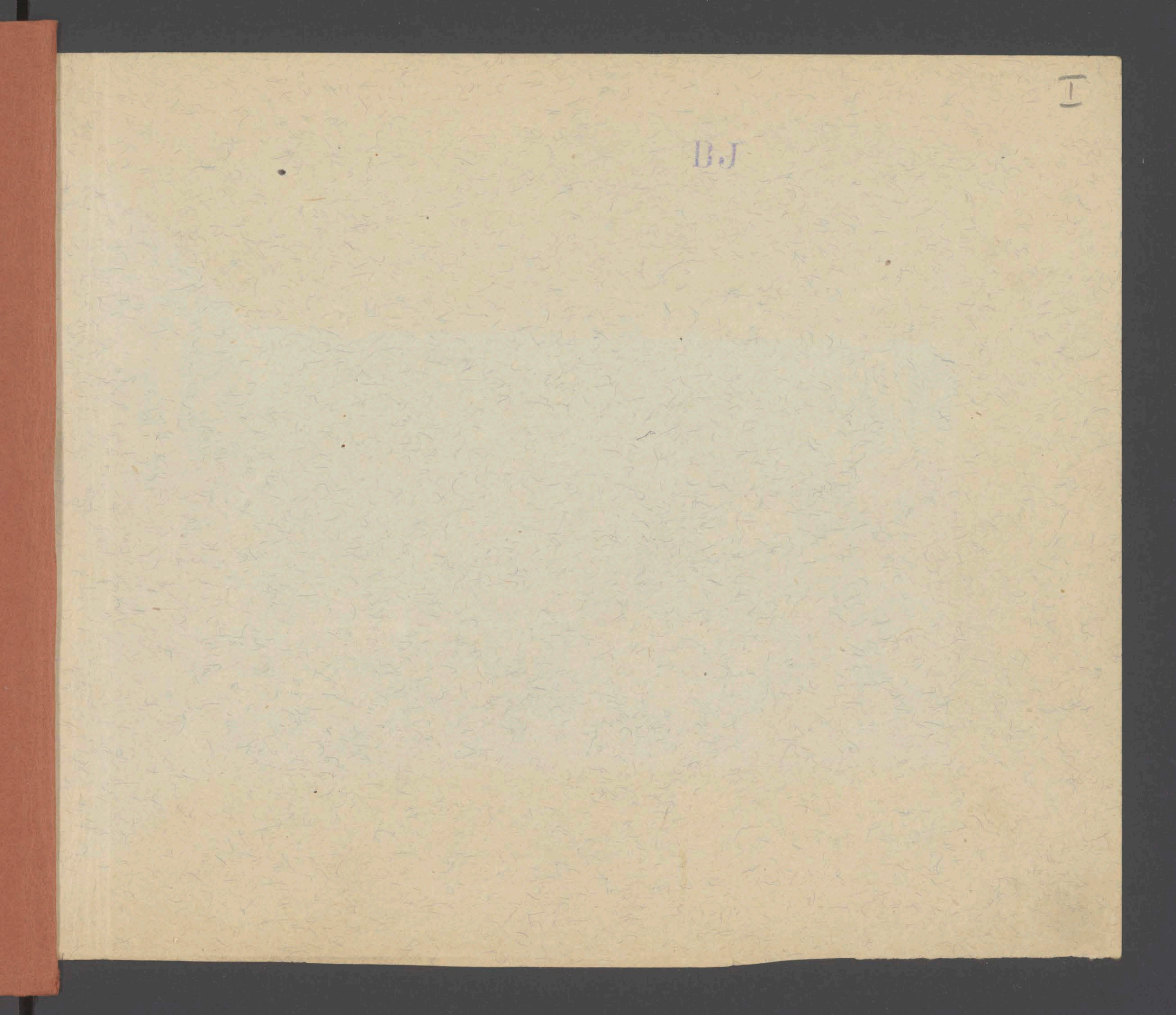
Obrazy Matki Boskiej.

XI.




BJ

II

Inph. 54/58 + 8

1.

Obraz Matki B. Bolesnej.

Jak daleko pamięć moja sięga w lata dzie-
cinne, znajdował się w domu naszym obraz
M. B. B., stary bardzo, sczerniały, malowany
na płótnie, i bez ram wisiał zawsze nad łóż-
kiem matki mojej, która do wizerunku tego
wielkie miała nabożeństwo i wiarę w jego
cudowność. Ojciec mój, znawca sztuki ma-
larskiej, utrzymywał, że obraz jest co naj-
mniej bardzo wartościową kopią doskonałe-
go mistrza i nosił się z myślą odnowienia
obrazu, skoroby się pojawił jakiś zdolny res-

taurator starych obrazów w Krakowie.
W chwilach trwogi, jak n.p. wielkiej burzy, pożaru, lub czyjejś ciężkiej choroby, modliliśmy się przed opiekuńczym tym obrazem. Przypominam sobie, jak w pewną noc zimową zbudził mnie jakiś niezwykły ruch w domu; spostrzegłam kochanego ojca mojego, zdejmującego obraz ze ściany i matkę, chowającą go pod obszerny płaszcz swój. Zaniepokojona wyjściem rodziców o tak spóźnionej porze, zapytałam służącą Zosię o przyczynę. „Śpij, śpij dziecko spokojnie — rodzice wrócą niedługo", odrzekła.

Mimo trwogi w sercu usnęłam. Nazajutrz z rana dowiedziałam się, że w nocy dano znać z Kazimierza, że stryjenka Karolowa ciężko zachorowała i że tam udali się natychmiast rodzice moi, aby dodać ducha strapionej rodzinie. I ja się rozbeczałam na tę wieść smutną a Zosia rzekła: „Nie płacz Maniusiu, nasza M. Boska wszystko pozmienia na lepsze.” Jakoż powrócili rodzice z dobrą wiadomością, że niebezpieczeństwo minęło. Obraz święty powrócił na swoje miejsce.

W czasie pobytu mojego z matką zagranicą

ojciec mój zmienił mieszkanie a przy prze-
prowadzaniu się obraz M. B., ta relikwia
nasza, skradziony został! Można sobie
wyobrazić naszą boleść... Zdawało nam się,
że duch opiekuńczy naszego domu nas opuścił. Wszelkie
poszukiwania nie odniosły żadnego skutku.
Padały też gromy w rodzinę naszą; straci-
łam kochaną Matkę i brata Edwarda i
innych krewnych, drogich sercu mojemu.
Minęło lat 20; byłam już zamężną, kie-
dy wstąpiwszy dnia pewnego na pacierz do
kościoła OO. M. P. w Krakowie, ujrzałam z nie-
małem zdziwieniem na ołtarzu u stóp P. Je-
zusa Ukrzyżowanego nasz obraz, odnowiony

pięknie, w ramie, zakończonej od dołu dwoma skrzyżowanemi gałązkami palmowemi. Ojciec mój wielce zainteresował się mojem odkryciem i tegoż dnia jeszcze udaliśmy się do zakrystji z zapytaniem o pochodzenie obrazu. Ówczesny administrator parafii, ks. kanonik Henryk Matzke objaśnił nas, że obraz przed niedawnym czasem ofiarował jakiś pan bezimiennie, z prośbą o umieszczenie tegoż u stóp wielkiego krucyfiksu w nawie bocznej. Rozumie się, że ani na chwilę nie było naszym zamiarem odbierać obraz, uprosiliśmy <u>tylko</u> ks. Matzkego, aby pozwolił sprawdzić na odwrotnej stronie obrazu znak, t. j. literę W. u spodu. Sprawdzenie

tożsamości obrazu naszej świętej Opiekunki
i odnalezienie drogiej nam relikwii uradowało
nas wielce i pocieszyła myśl, że obraz zna-
lazł się na świętem miejscu na zawsze. —
Czytelnika niniejszego opowiadania proszę,
aby zechciał przed tym obrazem zmówić za
mej rodziny a kiedyś i moją duszę „Zdrowaś
Marya."

Obraz wotywny w muzeum Uniw. Jagiel.

Około r. 1867. postanowiono odnowić wspaniałe dzieło Wita Stwosza, wielki ołtarz w kościele N. P. M. w Krakowie. Zabrano się najpierwej do usunięcia mnóstwa śmieci, nagromadzonych od lat wielu poza ołtarzem. Ojciec mój przechodząc koło kościoła od strony kościoła św. Barbary, natrafił był właśnie na chwilę, kiedy koszami wynoszono odwieczne jakieś szczątki zbutwiałych fragmentów rozmaitych kościelnych przyborów i rzucano takowe na kupę przed drzwiami, aby je potem wywieźć. Z pomiędzy splątanej masy

rupieci sczerniały stoczone przez robactwo metrowej długości patyki a raczej listewki różnej szerokości, które zwróciły uwagę ojca. Wyciągnął więc jeden kawałek, który okazał się być częścią malowanego na drzewie obrazu. Malowidło to zainteresowało znawcę i amatora, jakim był mój ojciec, począł więc dalej szukać odpowiednich kawałków a uzyskawszy od dozorującego księdza pozwolenie, zabrał związane szczątki do domu, gdzie zaraz wzięliśmy się z ojcem do składania dobranych części, jakby do łamigłówki. Obraz ten stoczony z odwrotnej strony przez robactwo, zachował stronę malowaną zcale

wyraźnie i w dość żywych barwach. Był to obraz
wotywny, staroniemieckiej szkoły, przedstawiający
P. Jezusa na krzyżu, u którego stóp klęczały
2 postacie, mężczyzny i kobiety, modlące się
ze złożonemi rękoma i wzniesionemi głowami do
Ukrzyżowanego. Obie postacie były piękne i wyra-
ziste, piękny również był Chrystus. Można było
przypuścić, że obraz ten umieszczony kiedyś
na zewnętrznej ścianie kościoła, ucierpiał od
słoty i powietrza, rozeschł się z czasem i poszedł
między rupiecie. Ojciec mój, poznawszy się na
wartości dzieła jakiegoś lepszego artysty, zapy-
tał ówczesnego administratora parafii, ks. Bobra

o pozwolenie zdjęcia obrazu i polecił go odno-
wić p. Abrahamowiczowi. Restauracya wypadła
bardzo dobrze i obraz ofiarowany został do
tworzącego się naówczas z inicyatywy prof. Jó-
zefa Łepkowskiego muzeum przy Uniw. Jagiel.
gdzie dotąd w ostatniej sali się znajduje. —
W lat kilka, kiedy będąc już zamężną zwie-
dzałam muzeum, co za każdą bytnością czy-
nić nie zaniechałam, badając czem się wzbo-
gaciło, właśnie nadesłano z Szwajcaryi me-
dalion z kryształu skalnego, oprawny w zło-
to a zawierający zwitek białych włosów — Koś-
ciuszki. Widocznie w chwili zamykania me-
dalionu rozwinął się splot i na zewnątrz wy-

dostał się jakby pęderek świeżnych włosów.
Wzruszona widokiem tej cennej relikwii rzekłam
do prof. Łepkowskiego: „Jakżebym rada uszczk-
nąć choć jeden włosek.” Staliśmy właśnie
pod obrazem, ofiarowanym dawniej przez ojca
mojego, więc prof. Ł. rzekł do mnie: „Ofiara
za ofiarę należy się Pani.” i wyjąwszy z kie-
szeni nożyczki odciął 2 włosy dla mnie.
Ubytku ani znać było a ja pozyskałam pa-
miątkę cenną, którą oprawiłam w medalion
i z pietyzmem przechowuję w moim skromnym
zbiorze i wdzięczną jestem za ten miły upo-
minek pozostałemu przyjacielowi, zawsze dla

mnie życzliwemu uczonemu, ś.p. Józefowi Łepkowskiemu.

Tereska.

Kiedy byłam małą jeszcze dziewczynką, żyła w Krakowie staruszka, znana całemu miastu; była karlicą, wzrostu sześcioletniego dziecka. Była wieśniaczką z Galicyi Zach. i od wczesnej młodości służyła w domach krakowskich, lecz przeżywszy wszystkich swoich chlebodawców, nie mogąc dłużej pracować, zamieszkała w izdebce w osobno stojącej drwonnicy ks. ks. Augustyjanów na Kazimierzu, danej jej na dożywotni użytek, za co odwdzięczała się zakonowi naprawianiem bielizny kościelnej. Brała też roboty z domów krakowskich, jak n.p. nadrabianie

pończoch, darcie pierza, i t. p. Nie żebrała nigdy. Nosiła się po wiejsku, czysto i schludnie; lubiana ogólnie, a nawet pośród żydów w całej dzielnicy szanowaną była. Odwiedzając stryjostwo moje, mieszkające tuż obok kościoła św. Katarzyny i klasztoru ks. ks. Augustyanów, lubiłam wraz z innemi kuzynkami odwiedzać staruszkę Tereskę w jej małem a tak miłem mieszkanku, którego okna pełne były kwiatów, ślicznie utrzymywanych i zawsze kwitnących. Tereska rada nam była, gdyż lubiła dzieci; opowiadała nam swoje przeżycia, albo bajki ciekawe, znajdując

15.

w nas wdzięczne słuchaczki.

Otoczona żydostwem, już przed r. 1850. gęsto obsiadającem tę piękną część Krakowa, walczyć nieraz musiała z bachorami krzykliwemi, bawiącemi się pod jej oknami i czyniącemi jej szkodę w kwiatach. Komiczną była starowina, kiedy wypadała zniecierpliwiona na zgraję żydziaków z dużym młotkiem, rożenem lub nicią; przed tak niegroźnem narzędziem całe żydzięta umykały na chwilę tylko, wiedząc, że karlica na krótkich nóżkach nie zdąży ich dogonić. — W r. 1850. liczono Pecetce już lat 100.

Mimo, że stryjostwo moi wynieśli się już z Kazimierza, zachodziłam nieraz z ojcem do poczciwej babiny. Sądząc jednak z jej opowiadań, tak starą jeszcze nie była. W jej rodzinnej wiosce spalił się kościół wraz z parafialnemi dokumentami, więc sprawdzić wieku jej nie można już było; sama sobie tak się już starą wydawała, że jak mawiała żartobliwie: „Adama i Ewę pamiętała." Opowiadała mi, że dawno już była dorosłą dziewuchą, kiedy pan Kościuszko przysięgał na krakowskim Rynku. „Stanęłam sobie w tłumie ludzi u wylotu ul: Wiś

niej, ale kuc taki byłabym nic nie zobaczyła, gdyby jakiś poczciwy mieszczanin nie był zlitował się nademną i porwał mnie na ręce, podnosząc w górę ze słowami: Patrz dziecino na Naczelnika i zapamiętaj sobie tę uroczystą chwilę." A więc, choćby Tereska miała wtenczas lat 20 kilka, to w r. 1850 liczyłaby 70 kilka lat dopiero.
Kiedy w r. 1869 wychodziłam za mąż do Król. Polsk. zaszłam z pożegnaniem i do sympatycznej staruszki, a że na wybytek szedł się żaliła, proponowałam jej miejsce w Tow. Dobroczynności, gdzie po ś. p. matce mojej objęłam w opiekę salę 10. Mlle Tereska, Litu-

jąca swobodę i do swego kącika powrócić, podziękowała mi serdecznie, ale odmówiła. W jakie lat 3 czy 4 bawiąc w Krakowie, spotkałam staruszkę na plantach; przysiadła przy mnie na ławce i z płaczem poczęła wyrzekać na niegodziwość ludzką. „Za moje uczciwe i pracowite życie spotyka mnie kalumnia" rzekła. „Mówią ludzie, żem swoje gnaty za życia sprzedała doktorom do Akademii. A to nieprawda — nie łakomiłam się nigdy za życia o zyski i po śmierci nie będą się akademicy wyśmiewać z odrobiny moich kości. Nigdy, przenigdy! W tym też cza-

się karlica zdecydowała się zamieszkać w Tow. Dobroczynności, gdzie w lat kilka zmarła, licząc – jak sądzę – lat 101. Cichej, pracowitej, pobożnej Teresce poświęcam wspomnienie, prosząc o westchnienie za jej duszę.

Karły i muzyka.

Oprócz Tereski, byli jeszcze równocześnie w Krakowie dwaj karli: jeden u hr. Adamów Potockich „pod Baranami", drugi, Wątróbka, długoletni kamerdyner ks. Stanisława Jabło-

nowskiego. Wątróbka żył bardzo długo, no-
sił się po polsku i był osobistością wielce
popularną w mieście. Jako emeryt przesia-
dywał pod pałacem Jabłonowskich w Rynku
i regularnie w południe zachodził do po-
bliskiego handlu Wentzla na kufelek pi-
wa, zawsze przez gości stałych przyjaźnie
witany, lecz nigdy nie przyjmował żadne-
go poczęstunku.

Hr. Adamowie Potoccy ze swej podróży na
wschód w r.   przywieźli murzyniątko, mu-
rzynkę, którą wychowali w wierze katolickiej.
Zajmowała ona w Krzeszowicach miejsce

panny służącej. Znalazł się dla niej konku-
rent w osobie zegarmistrza krzeszowickiego
(nazwiska nie pamiętam). Pani zegarmistrzo-
wa chodziła po Krakowie gęsto zakwefiona,
mimo to udało mi się widzieć ją a nawet po-
znać osobiście w podróży mojej z Warszawy
w r. 1875. Na stacyi Krzeszowice wsiadła
Murzynka do przedziału mojego. Dzień był
bardzo skwarny, więc i ona odrzuciła gęsty
woal, sapiąc niespokojnie i narzekając
na upał. Kiedy któraś z pasażerek zrobiła
uwagę, że w Afryce chyba większe musiała
znosić gorąca, odpowiedziała zegarmistrzowa

z żywością: „Tak, ale tam chodziłam nago."

Jeszcze wspomnienie z lat dziecinnych.

Wesele u p. p. Mendelsohnów.

W r. 1847. po śmierci mojego dziadka Michała Mohra, wynajął pierwsze piętro w domu naszym na Kazimierzu niejaki p. Mendelsohn, z zawodu spedytor handlowy, posiadający własne biuro spedycyjne na dworcu kolei, świeżo otwartej. Mendelsohn był żydem cywilizowanym; cała jego rodzina, liczny personal biurowy, nawet i służba domowa źle mówiła żargonem, o który żydzi dziś (w r. 1919) w sejmie polskim walczą!! Mendelsohn miał 3 córki i syna, którym dał staranne wychowanie i

i wykształcenie; syn Jonas, odznaczający się zdolnościami, kolegował później z bratem moim Michałem na Uniw. Jagiel. W r. 1852. najstarsza córka p. M. Ładna Augusta, wychodziła za właściciela dóbr na Węgrzech, nazwiskiem Herz. Mendelsohn, który, przyznać to trzeba, był człowiekiem porządnym, miał stosunki takie z wybitnem kupiectwem w Krakowie, zapragnął, aby wesele córki obchodzić po europejsku i by wypadło jaknajświetniej, na co mu znaczenie i majątek pozwalały. Rozesłano więc liczne zaproszenia a w domu naszym pewnego dnia pojawiła się p. Mendelsohn z córką, z prośbą aby matka moja

zechciała być im pomocną radą w ułożeniu
programu weselnego, jak n.p. menu kolacyi,
upiększenia mieszkania, usługi ręcznej, toa-
let panien, sióstr, wogóle-zwyczaju, przyjęte-
go w domach krakowskich. Matka moja z chę-
cią udzieliła rad wszelkich, co obie panie za-
notowały sobie, obiecując, co do joty wypeł-
nić wszystko. Ładna p. Augusta, głaszcząc
mnie po twarzy wyraziła życzenie, abym i ja
na jej weselu była. Jakoż w dniu ślubu wie-
czorem stawiło się chrześciańskie towarzystwo
w pięknych salonach, gdzie powitało nas
wszystkich uprzejmie grono rodziny p.p. Men-
delsohnów, wraz z młodą parą, po co tylko od-

bytej w synagodze ceremonii ślubnej. Mnie specyalnie zachwyciła p. Augusta w białej atłasowej sukni. Wyborny sekstet wojskowy przygrywał do tańca, toalety były świetne i całe przyjęcie bardzo składnie. Kolacya była wyborna, usługa również nie pozostawiała nic do życzenia, bawiono się więc ochoczo. Niespodzianką miłą i elegancką była o 1szej w nocy zastawiona cukrowa kolacya, sumptem pana młodego urządzona. Państwo Mendelsohnowie wyrazili matce mojej wdzięczność za świetne ułożenie programu. Już po godz. 2giej nad ranem zabraliśmy się do powrotu na sposób angielski, t. j. ci-

cko, aby nie przerywać wesołej zabawy.
Był to pierwszy wieczór tańcujący i wystawny, w jakim brałam udział w mojem dziecinnym wieku, nie dziw więc że go w pamięci zachowałam. —— Z rodziną Mendelsohna, któ-ra po kądzieli licznie się rozrodziła, ojciec mój do śmierci zachowywał przyjazne sto-sunki, gdyż to byli bez wyjątku ludzie wyższej kultury i w społeczeństwie kra-kowskiem poczestne zajmowali miejsca. Z dzieci p. Men.. żadne już nie żyje, lecz wnuki i prawnuki, jak Rapaportowie, Ro-senbergowie, Herzowie i Benisowie zaliczają się do izraelickiej arystokracyi.

chaczem, zostawiając całe towarzystwo rozba-
wione, kiedy w drzwiach przedpokoju spotka-
liśmy lokaja, niosącego na wielkiej srebrnej
tacy rzędy talerzyków wraz z małemi widelca-
mi i nożykami, a na talerzykach po dzwon-
ku - śledzia, z dodatkiem pierścioneczka ce-
buli...!! Umykaliśmy co żywo do domu,
aby nie być świadkami efektu, jaki ten nad-
programowy dodatek wywarł na chrześcijańskich
gościach. Doszła nas później wiadomość, że
od chwili pojawienia się tegoż, znikła przy-
jemna dotąd atmosfera salonów p.p. Mendel-
sohnów. Usprawiedliwiliśmy się potem matce mojej

i darem

że pomysł nieszczęśliwy był niespodzianką, √
~~zrobioną~~ przez kogoś z gości żydowskich. —
Dziś żyją wnuczki Mendelssohnów (1919) i nie
zmieniły wiary; jedna jest nauczycielką
szkoły wydziałowej, ~~druga dyrektorką szkoły~~
~~muzycznej~~.

Emilia Kucieńska.

Ze wszystkich licznych, ładnych i miłych moich kuzynek, Mila Kucieńska z lat już dziecinnych była najbliższą sercu mojemu; porównać ją było można do pogodnego, wiosennego poranka, tyle w niej było wdzięku, radującego wszystkich. Stworzona do szczęścia i do uszczęśliwiania, była typem polskiej dziewczyny; energiczna, żywa, czynna i obowiązkowa, zręczna nad podziw a zawsze wesoła, czarowała miłem obejściem i ujmującą dobrocią. Można sobie więc wyobrazić, jaką radość

wywoływało w domu naszym każde przybycie tej przemiłej siostry do Krakowa. W kole moich znajomych Mila była zawsze miłym i pożądanym gościem. Bywałyśmy razem na zabawach prywatnych i wielkich balach, na których urocza Mila podbiła niejedno serce młodzieńcze; nie brakło też jawnych konkurentów. Czemuż którego z nich nie wybrała! Inaczej byłoby się potoczyło jej życie...

Zmarła przedwcześnie, żałowana przez wszystkich. Spokój jej za życia udręczonej duszy! —

Przygoda Mili Z.

W r. 1867 przybyła kuzynka moja, Mila Z. do Krakowa na dni kilka, jak zawsze radośnie u nas powitana. Właśnie dnia tego przestawiano kuchnię naszą, więc postanowiliśmy zjeść obiad w restauracyi p. Ziembińskiego w hotelu drezdeńskim. Mila ślicznie się ubrała w suknię z szafirowego fularu i kapelusik słomiany, ozdobiony pękiem ostróżek tegoż koloru; tę ładną toaletę dopełniały buciki z szafirowej skórki. Uroczo wyglądała Mila – jakby gałązka świeżych

bławatów. Gdyśmy weszli do restauracyi,
sala była już zapełniona gośćmi. Panowie
na widok nieznanej a pięknej panny zaczęli
wstawać z krzeseł, chcąc ustąpić nam
miejsc, kiedy ojciec mój spostrzegł w rogu
sali wolny jeszcze stolik, przy którym
usiedliśmy. Po niejakimś czasie zauważy-
łam, że Emilka straciła swój zwykle wesoły
humor; na zapytania nasze odpowiadała
wymijająco, co mnie niepokoiło, ale wkrótce
minęła jej niedyspozycya i obiad jedliśmy
ze smakiem przy swobodnej pogawędce, do któ-
rej należał znajomy nam młody człowiek,
który przysiadł się do naszego stolika. —

W przyległej wielkiej sali, od której dzieliła nas szeroka arkada, powstała wesołość i gwar, który zwrócił naszą uwagę; spostrzegliśmy pieska, niosącego w pyszczku jakiś przedmiot, który mu odebrać usiłowano, ale pies figlarny, bo młody, bronił swej zdobyczy. Ostatecznie młodemu Turlińskiemu, zwanemu przez gości piccolo, udało się odebrać przedmiot. Obniósł takowy po sali, poszukując właścicielki. Jakież było nasze przerażenie kiedy Turliński wszedł do naszej sali, niosąc w ręku szafirowy bucik Idili! Przyczyną fatalnego zdarzenia było, że bucik, zbłocony

lakierowaną skórką. W dzień upalny piekł
Milę niemiłosiernie, więc niepostrzeżenie
zrzuciła tenże z nogi pod swoje krzesło.
Piesek miejscowy cichaczem wyniósł zdobycz
z dumą do sąsiedniej sali. Zawinił tu picco-
lo, że niedyskretnie prezentował znaleziony
przedmiot licznej publiczności. Uczułyśmy
mocno tę komiczną przygodę, która zatruła
kochanej mojej kuzynce pobyt w Krakowie.
Ojciec mój pocieszał Milę, że ładny i zgra-
bny bucik ujmy jej nie przyniósł.

Tu nadmienić wypada, że nie komiczna
przygoda z szafirowym bucikiem miała utrwa-
lić nazwisko Turlińskiego w kronice Krakowa.
Turliński, przeszedłszy wszystkie stopnie swo-
jego zawodu, od piccola t. j. pomocnika restau-
racyjnego aż do płatniczego zakładu p. Ziem-
bińskiego, po śmierci tegoż założył w końcu
19tego stulecia kawiarnię na placu św. Ducha,
vis-à-vis budującego się w tym czasie nowe-
go teatru, w jednopiętrowej willi niegdyś Ga-
briellich. Kawiarnia ta, prowadzona ze znajo-
mością fachu, stała się wkrótce ulubionem

miejscem zbornem Krakowian. W małym pokoiku gnieździła się chętnie nasza ówczesna młoda literatura i sztuka. Wieczór tłumnie i gwarno bywało w zadymionym pokoiku, o którego ściany, zawieszone nieraz genialnemi szkicami, odbijały się namiętne dysputy literackie, ścierały się opinie, zdania i poglądy takich ludzi, jak Wyspiański, Przybyszewski, Rydel, Pelczajżowie i wielu, wielu innych. Miejsce to nazwała młodzież „Mons zalauchi Paon."

Gdy ukończono budowę teatru im. Słowackiego w r. 1893. artyści naszej sceny obrali też so-

bie sympatyczną kawiarnię Turlińskiego za
miejsce wypoczynku, stał się więc ten lokal
istnym przybytkiem muz jeszcze na lat kil-
ka. Gdy dom przeszedł w inne ręce, „Monsza-
lancki Paon" przeniósł się do innej ładnej
cukierni Michalika przy ul: Floryańskiej;
gdzie dotąd (r. 1920) już pod inną nazwą
„Zielonego Balonika" istnieje, jako ognisko
sfery artystycznej, lecz niestety ognisko to
nie promieniuje już tak jak dawniej
w skromnej kawiarni Turlińskiego.

Na miejscu dawnej kawiarni Turlińskiego
wybudowano w r. 1912. 3 piętrową kamienicę. Na
parterze założył Wojciech Woźniak wielką
kawiarnię na sposób europejski, którą z wy-
buchem wojny przejął związek kelnerów.
Wylot ul. Szpitalnej, zakończony pięknym,
słonecznym placem św. Ducha z jednej stro-
ny a ślicznemi plantami z drugiej, z nowym
gmachem teatru, otoczonego najpiękniejsze-
mi klombami kwiatów, istnym arcydziełem
artysty-ogrodnika miejskiego, p. Małeckiego,
nadawał się wybornie na miejsce wypoczynku,
bowiem nietylko ciało tu można było wy-

bonią kawą i lodami pokrzepić, ale i oczy nasycić urokiem miłego otoczenia, dzięki czemu kawiarnia odrazu prosperowała świetnie, gromadząc tłumnie inteligencyę Krakowa. Niestety, wojna w r. 1914. powołała pod broń licznych członków stowarzyszenia, miasto wskutek ewakuacyi opustoszało. Z tej przełomowej chwili - jak to zwykle u nas - skorzystali żydzi. Dom wraz z kawiarnią nabył bogaty żyd - Welsztein. Zaroiło się w lokalu od naszych neutralnych. Ze sferą gości obniżył się dawny poziom kawiarni. Welsztein robił interesa świetne, właściciela

że schlebiał złemu smakowi swoich współ-
wyznawców ordynarnemi produkcyjami w guście
Tingel-Tanglowym. I tak n.p. zaledwie austrya-
cy opuścili nasze miasto, pewnego wieczora
jakiś obskurny żydziak w biało-czerwonym
kostyumie clowna i masce w kształcie
świńskiego łba, ośmielił się ordynarnemi
śpiewkami ubliżać narodowi polskiemu.
Aroganckiego wieprza wyrzucono za drzwi,
a kawiarnię z rozkazu władzy zamknięto,
odbierając właścicielowi koncesyę. Żyd pora-
dził sobie, odstępując pozornie firmę
chrześcijaninowi, Broszkiewiczowi. Wtargnięcie

wstrętnego żyda w bezsprzecznie jednej z piękniejszych części naszego miasta, stała się jakby zapowiedzią innych zmian na gorsze, choć nie będących w żadnym związku z inwazyą Wetsteina: Słońce jak dawniej oświeca swoim blaskiem plac św. Ducha, wspaniałe kasztany plantacyi, zwieszając swe konary, dają ochłodę i cień dobroczynny, ale kwietniki pod teatrem już nie takie, jakiemi bywały za życia ś.p. Maleckiego. A co najgorsze, że zmienił się poziom artystyczny krakowskiego teatru pod dyrekcyą p. Trzcińskiego, inna też publiczność.

t. zw. „nowi bogacze“ – zapełnia widownię…. obcym, starym ludziom zdaje się, że Fredro, stojący przed gmachem teatru, jakoś smętnie patrzy na obecne swoje otoczenie….
Ufajmy, że wszystko się kiedyś ku lepszemu zmieni.

Pomyłka

P. Zygmunt Horn, właściciel wsi Borek Fałęcki pod Krakowem, wysłał dnia pewnego do miasta parobka z wózkiem dla odświeżenia słupa drewnianego, stojącego za podstawę pod wazon z kwiatami na werandzie dworu. Słup w kształcie kolumny był pokostowany na marmur i potrzebował odnowienia. P. Horn pouczył chłopaka, żeby zawiózł słup na ul: Dominikańską pod l. 3 do malarza Remina, z uwagą, aby tenże z robotą się pospieszył. — Chłopak, powróciwszy z Kra-

kowa, na zapytanie, czy trafił i na kiedy malarz robotę wykończy taką dał odpowiedź: „Trafiłem i obrazek za tydzień będzie gotowy; ale wszystko było nie tak jak pan dzisiaj opowiedział, bo ten malarz nie mieszka na ul: Dominikańskiej pod 3 na dole, ale na Słowiańskiej pod l: 41. na 3 p., nie nazywa się Rembrandt, ino Matejko." Po tych słowach nastąpiła – jak sobie wyobrazić można – ostra admonicya ze strony p. Horna. Skonfundowany Jonek tak się dalej tłomaczył: „Kiedy jechałem zwolna przez pl. Dominikański i upatrywałem numeru

i szyldu, zapytał mnie jakiś młody pa-
nicz kogo szukam, a jak mu powiedziałem
o co idzie, rzekł mi: „Ten malarz mieszka
teraz na ul: Płowyańskiej, l. 41. na 3 p.”
Trafiłem zaraz i malarz, jakiś człowiek
chudzina a smyśny siedział wysoko na
drabince gdzieś pod sufitem z patykiem
pod ręką. Jak mu wszystko tak powiedzia-
łem jak p. dziedzic przykazał, począł
się okropnie śmiać i radził mi, bym się
wyniósł, bo on takiej roboty się nie podej-
mie; ale ja, zem się dźwiganiem stupa
na 3 piętro do potu zmęczył, ostro na ma-

zaraz natarłem, że zmiękł przecie i za tydzień po słup przyjechać, a panu dziedzicowi pięknie się kłaniać przykazał."

P. Horn wyruszył natychmiast do Krakowa, aby przeprosić Matejkę za pomyłkę fornala, malarz, rozweselony zdarzeniem rzekł, że już raz jakiś wieśniak molestował go o pomalowanie skrzyni. — W obu tych razach widocznym był figiel jakiegoś wesołego młodzika.

Mistyfikacya.

Bawiąc w Krakowie jako młoda dziewczynka, wśród trzy pewnego dnia do pokoju ojca mojego, zastałam tam starszego mężczyznę, który mi przedstawiony został jako pan M. W. komisarz targowy. Czarownika nie dostrzegłam, natomiast tylko nieco mnie zadziwił, zwłaszcza, że poczęstowany spytawszy go, uśmiechnął się jakoś znacząco. Ojciec polecił mi podanie zakąski i wódki, gdyż to było przed południem. Gawęda rozpoczęła się wcale poufna a p. komisarz okazał

się człowiekiem inteligentnym i dowcipnym. Poruszaliśmy w rozmowie różne aktualne sprawy owego czasu a gdy potrącono o teatr, którego byłam i jestem wielką zwolenniczką, zauważyłam, że właśnie w tej dziedzinie p. komisarz jest niezwykle obeznany a już wprost znakomicie charakteryzował ówczesnych artystów dramatycznych i ich gry. A działo się to za dyrekcji Adama Skorupki, kiedy pierwszorzędne talenta, jak Modrzejewska, Feliks Benda i inni, jaśniały na krakowskiej scenie. W końcu nie pominę

już jak i dlaczego, zeszła rozmowa na stosunki wiejskie, właszcza na lud nasz. Tu już p. komisarz okazał się badaczem i niepospolitym znawcą chłopa naszego; posypały się barwne opisy z życia ludu, jego charakterystyka, wady, cnoty, spryt a czasem i ciemnota, żeśmy się serdecznie śmiać musieli i aniśmy się spostrzegli jak czas nam zeszedł, godzina obiadowa nadeszła i p. komisarz nas pożegnał. Kiedy wyszedł, zawołałam: I to taki inteligentny człowiek jest komisarzem targowym! Ojciec się rozśmiał i rzekł: „Alež to był Włą-

dysław Stuczyc!"... Powodem tej mistyfikacyi ze strony ojca była ta okoliczność, że p. Stuczyc na wstępie swoich odwiedzin użalał się był na krakowskie stosunki i jakieś nieporządki targowe i podawał projekta reformy w tej sprawie, na co ojciec mój rzekł żartobliwie: „Wiesz co p. Władysławie, porzuć literaturę i drukarnię i zostań komisarzem targowym — ja cię w magistracie zaprotegeuję. Do te właśnie słowa ja weszłam a ojciec żart poprowadził dalej. — Takie było poznanie się moje z Władysławem Stuczyc, twórcą „Kościuszki pod Racławicami" i „Chłopów-Arystokratów".

Spis rzeczy.



